

A person wearing a long, flowing teal dress is walking away from the camera on a sandy beach. The scene is set during a sunset or sunrise, with the sky and water reflecting warm orange and yellow light. The person's legs and feet are visible as they walk.

NICHOLAS SPARKS

Z KAŻDYM
ODDECHEM



Tru

Rankiem dziewiątego września 1990 roku Tru Walls wyszedł na dwór i spojrzał na ogniście zabarwione niebo nad horyzontem. Ziemia była spękana, powietrze suche – nie padało od ponad dwóch miesięcy. Ruszył do pick-upa, którym jeździł dwadzieścia lat z okładem, i całe cholewki jego butów od razu pokryły się kurzem. Równie zakurzony był samochód, z wierzchu i w środku. Za ogrodzeniem, zwieńczonym drutem pod napięciem, słoń odrywał gałęzie drzewa, które zwały się wczesnym rankiem. Tru nie zwrócił na niego uwagi – słoń był stałym elementem pejzażu w tym kraju, do którego przodkowie Tru wyemigrowali z Anglii ponad sto lat temu. Nie zdziwił się więc, tak jak wracający z codziennego połowu rybak nie zdziwiłby się, widząc rekina na morzu. Tru miał szczupłą sylwetkę, ciemne włosy i zmarszczki w kącikach oczu od ciągłego przebywania na słońcu. Przeżywszy czterdzieści dwa

lata, zastanawiał się czasem, czy to on wybrał życie w buszu, czy też busz wybrał jego.

W obozowisku było cicho. Pozostali przewodnicy, także jego najlepszy przyjaciel, Romy, z samego rana udali się do głównej łodzy, skąd mieli zabrać do buszu przybyłych z całego świata turystów. Tru pracował w Parku Narodowym Hwange od dziesięciu lat; przedtem żył trochę jak nomada, zdobywał doświadczenie i co parę lat przenosił się do innego rezerwatu. Z reguły omijał tylko te rezerwaty, gdzie polowanie było dozwolone – jego dziadek nie mógłby tego zrozumieć. Ów pan – powszechnie nazywany Pułkownikiem, choć nigdy nie służył w wojsku – utrzymywał, że zabił w swoim życiu ponad trzysta lwów i gepardów, chroniąc inwentarz na wielkiej farmie rodzinnej pod Harare, gdzie wychował się Tru. Ojczym i bracia przyrodni Tru systematycznie zbliżali się do osiągnięcia tego wyniku. Na farmie nie tylko hodowano bydło, lecz również uprawiano ziemię: zbiory tytoniu i pomidorów były tu największe w kraju. Również kawy. Pod koniec dziewiętnastego wieku pradziadek Tru pracował z legendarnym Cecilem Rhodesem – magnatem kopalnianym i politykiem, ucieleśnieniem brytyjskiego imperializmu – zdobywając ziemię, pieniądze i władzę, które z czasem przekazał dziadkowi Tru.

Pułkownik odziedziczył kwitnące przedsiębiorstwo, które po drugiej wojnie światowej rozwijało się wręcz w postępie geometrycznym, co czyniło Wallsów jedną z najbogatszych rodzin

w kraju. Senior rodu nigdy nie zrozumiał, dlaczego jego wnuk porzucił rzetelnie działającą już wtedy firmę i całkiem luksusowe życie. Przed śmiercią – Tru miał wtedy dwadzieścia sześć lat – jeden jedyny raz odwiedził go w rezerwacie. Nocował w głównej lodży, a nie w obozowisku dla przewodników, ale gdy zobaczył, w jakich warunkach mieszka jego wnuk, doznał szoku. Ujrzał coś, co w jego oczach prawdopodobnie było niewiele lepsze od szopy, bez żadnej izolacji i telefonu. Jedyne światło dawała lampa naftowa, a mały generator, wspólny dla wszystkich mieszkańców obozowiska, zasiliał miniaturową lodówkę. W niczym nie przypominało to domu, gdzie wychował się Tru, ale jemu odpowiadały takie surowe warunki, niczego więcej nie potrzebował, zwłaszcza gdy zapadał wieczór i niebo iskrzyło się gwiazdami. W gruncie rzeczy to obozowisko miało nieco wyższy standard niż kilka poprzednich; w dwóch spał w namiocie, a tu przynajmniej korzystał z bieżącej wody i prysznic – co uznawał niemal za luksus – choć we wspólnej łazience.

Tego ranka Tru zabrał ze sobą gitarę w wysłużonym futerale, pudełko z lunchem i termos, kilka rysunków, które zrobił dla swojego syna, Andrew, plecak, a w nim trochę ubrań, przybory toaletowe, szkicowniki, węgle i kredki, oraz paszport. Wyjeżdżał na jakiś tydzień i uważał, że nic więcej nie będzie mu potrzebne.

Pick-up stał pod baobabem. Część znajomych przewodników chętnie jadła suchy, grudkowaty miąższ owoców tego

drzewa, jako dodatek do owsianki na śniadanie, ale Tru nigdy one nie smakowały. Rzucił plecak na przednie siedzenie i upewnił się, że na pace nie ma niczego, co można by ukraść. Samochód będzie stał na rodzinnej farmie, ale pracowało tam ponad trzystu robotników zarabiających marne pieniądze. Zdatne do użytku narzędzia rozplywały się w powietrzu, nawet pod czujnym okiem członków jego rodziny.

Usiadł za kierownicą i założył okulary przeciwsłoneczne. Nim przekręcił kluczyk, zastanowił się, czy czegoś nie zapomniał. Brał niewiele rzeczy; oprócz plecaka i gitary miał przy sobie list i zdjęcie, które dostał z Ameryki, oraz bilety na samolot i portfel. Na półce z tyłu leżała załadowana strzelba, w razie gdyby samochód się zepsuł, a on musiał wędrować przez busz, który nadal był jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie, zwłaszcza nocą, nawet dla człowieka z jego doświadczeniem. W schowku trzymał kompas i latarkę. Pod siedzeniem zawsze miał namiot, na wszelki wypadek. Był niewielki, żeby dało się go rozłożyć na pace. Choć nie ochroniłby przed drapieżnikami, lepsze to niż spanie na ziemi. No to jazda, pomyślał. Zrobił wszystko co trzeba.

Temperatura powietrza już rosła, a w samochodzie była jeszcze wyższa. Tru ustawił klimatyzację na „dwa na trzydzieści”, czyli dwa otwarte okna przy szybkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Niewiele to dawało, ale przywykł do upałów. Na podróż włożył jasnobrązową koszulę, której rękawy od razu

podwinął, i codzienne spodnie trekkingowe, po wielu praniach miękkie i bardzo wygodne. Turyści, przesiadujący wokół basenu przy głównej lodży, zwykle byli w kostiumach kąpielowych i japonkach, ale on nigdy nie czuł się swobodnie w takim stroju. Buty z cholewką i płócienne spodnie uratowały mu życie, gdy natknął się na rozszluszczoną czarną mambę; gdyby nie stosowne ubranie, jad zabiłby go w niecałe trzydzieści minut.

Spojrzał na zegarek: minęła siódma. Miał przed sobą kilka wyczerpujących dni. Włączył silnik i podjechał do bramy. Wyskoczył, żeby ją otworzyć, wyjechał poza teren, po czym z powrotem ją zamknął. Tylko tego brakowało, żeby po powrocie do obozowiska przewodnicy zastali stado wylegujących się lwów. Raz już tak było – nie tutaj, lecz w innym miejscu, gdzie pracował, w południowo-wschodniej części kraju. Cały plan dnia się wtedy rozsypał. Nie pozostawało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać, aż lwy się wyniosą. Na szczęście po południu postanowiły ruszyć na polowanie. Od tamtej pory Tru zawsze zwracał uwagę na to, czy brama jest zamknięta – nawet gdy nigdzie nie wyjeżdżał. Wiedział, że paru jego kolegów pracuje od niedawna, i wołał nie ryzykować.

Wrzucił bieg i wygodnie ułożył się na siedzeniu, by mieć jak najmniej uciążliwą podróż. Przez pierwsze sto sześćdziesiąt kilometrów droga była żwirowana, wyjeżdżona i wyboista i prowadziła najpierw przez rezerwat, a potem wiała się wśród wiosek. Pokonanie tego kawałka zajmie kilka godzin, co naj-

mniej do wczesnego popołudnia, ale znał trasę, więc pozwolił myślom płynąć swobodnie, przyglądając się światu, który nazywał swoim domem.

Słońce prześwitywało przez strzępiaste chmury, które snuły się nad koronami drzew, i w pewnej chwili padło na krawężnik o liliowej piersi, zrywając się z drzewa po lewej stronie. Potem przecięły mu drogę dwa guźce, mijając truchtem rodzinę pawianów. Widział te zwierzęta tysiące razy, ale ciągle nie mógł się nadziwić, że udaje im się przeżyć wśród tylu drapieżników. Przyroda posiada własną polisę ubezpieczeniową, stwierdził już dawno temu. Zwierzęta znajdujące się na niższej pozycji w łańcuchu pokarmowym mają zazwyczaj liczne potomstwo. W procesie ewolucji równowaga jest zachowywana. Tru był tego świadkiem każdego dnia, a jednak wciąż uważał to za niezwykle.

Turyści często pytali go o najbardziej ekscytujące zdarzenie w jego pracy. Mówił o szarży czarnego nosorożca albo opowiadał, jak na jego oczach żyrafa zaczęła gwałtownie wierzgać i robiła to tak długo, aż noworodek wystrzelił z niej niczym pocisk. Widział, jak mały lampart wciąga wysoko na drzewo dwa razy większego od siebie guźca, o włos umknąwszy przed stadem warczących hien, które wyczuły zapach krwi. Pewnego razu podążył tropem likaona pstrego, który został porzucony przez swoją watahę i przyłączył się do stada szakali – tego samego, na które przedtem polował. Opowieściom nie było końca.

Czy to możliwe, żeby dwie wyprawy samochodem terenowym do buszu wyglądały tak samo? – zastanawiał się. I tak, i nie. Można pojechać do tej samej lodży, mieć tego samego przewodnika, wyruszyć o tej samej porze i jechać tą samą drogą, przy takiej samej pogodzie, o tej samej porze roku, a za każdym razem zwierzęta będą się znajdować w innych miejscach i robić co innego. Będą szły do wodopoju albo stamtąd wracały, będą czuwały albo nasłuchiwały, pożywiały się albo spały, albo kopulowały, a wszystkim będzie chodziło po prostu o to, by przeżyć jeszcze jeden dzień.

Z boku drogi zobaczył stado impali. Przewodnicy mówią w żartach, że te antylopy są McDonalдами w buszu, fast foodami, których tu pod dostatkiem. Stanowią pokarm każdego drapieżnika. Turyści są nimi tak znudzeni, że już po jednej wyprawie przestają je fotografować. Tymczasem Tru zdjął nogę z gazu i przyglądał się, jak jedna antylopa po drugiej przeskakuje przez zwalone drzewo, z wdziękiem wzbijając się na imponującą wysokość, niczym baletnica na scenie. Na swój sposób, pomyślał, są wyjątkowe, tak jak wielka piątka: lew, lampart, nosorożec, słoń i bawół, a nawet wielka siódemka, do której zalicza się jeszcze geparda i hienę. Te zwierzęta turyści pragnęli ujrzeć, to one ich ekscytowały. Cała sprawa polegała na tym, że lwa nietrudno zobaczyć, zwłaszcza gdy świeci słońce. Śpią osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę i najczęściej odpoczywają w cieniu. Natomiast rzadko widzi się lwa w ruchu, chyba że nocą. Tru pra-

cował niegdyś w rezerwatach, które miały w ofercie wieczorne wycieczki do buszu. Bywały takie, że włos się jeżył, a często po prostu nic nie było widać w tumanie kurzu, jaki wzbijała setka bawołów lub antylop gnu, uciekających w popłochu przed lwami. Przy widzialności ograniczonej do kilkunastu centymetrów Tru musiał stawać. Dwukrotnie zdarzyło się, że samochód nagle utknął między stadem lwów a ich ofiarami, co spowodowało u pasażerów niebotyczny skok adrenaliny.

Droga była coraz bardziej wyboista. Tru jeszcze zwolnił i jechał teraz zakosami. Zmierzał do Bulawayo, drugiego co do wielkości miasta w Zimbabwie, gdzie mieszkała jego była żona, Kim, i ich syn, Andrew. Po rozwodzie Tru kupił tam dom dla siebie. Z perspektywy czasu nie ulegało wątpliwości, że byli niedobrym małżeństwem. Poznali się przed dziesięciu laty w barze w Harare, gdy Tru właśnie zrezygnował z pracy i jeszcze nie znalazł innej. Kim powiedziała mu później, że wydał jej się osobliwym człowiekiem, co w połączeniu z jego nazwiskiem, znanym w okolicy, rozbudziło jej ciekawość. Młodsza od niego o osiem lat, urzekła urodą i swobodnym wdziękiem, a przy tym pewnością siebie. Jakoś tak wyszło, że prawie całe następne sześć tygodni spędzili razem, po czym Tru znowu poczuł zew buszu i chciał zakończyć ten romans, ale okazało się, że Kim jest w ciąży. Wzięli ślub, Tru przyjął pracę w Parku Narodowym Hwange, ponieważ znajdował się on w miarę niedaleko Bulawayo, i wkrótce potem przyszedł na świat Andrew.

Choć Kim wiedziała, jak Tru zarabia na życie, sądziła, że po narodzinach dziecka zmieni pracę na taką, która nie wymaga wielotygodniowych pobyków poza domem. Stało się inaczej. Tru nadal pracował jako przewodnik, a Kim w końcu znalazła sobie innego mężczyznę i ich małżeństwo rozpadło się po niecałych pięciu latach. Nie żywili do siebie urazy; co więcej, po rozwodzie ich stosunki się poprawiły. Ilekroć Tru przyjeżdżał po syna, spędzał trochę czasu z Kim na przyjacielskich pogawędkach o tym, co się wydarzyło od ostatniego spotkania. Kim wyszła ponownie za mąż i miała córkę z drugim mężem, Kenem. Gdy widzieli się ostatnio, powiedziała, że znów spodziewa się dziecka. Ken pracował w księgowości Air Zimbabwe. Chodził do biura w garniturze i codziennie wracał do domu na kolację. Tego pragnęła Kim, a Tru cieszył się jej szczęściem.

Co do Andrew...

Syn miał już dziesięć lat i był tym najlepszym, co wynikło z ich małżeństwa. Zrzędzeniem losu Tru zachorował na świnkę, gdy Andrew miał kilka miesięcy, i stał się bezpłodny, ale nigdy nie chciał mieć więcej dzieci. W zupełności wystarczał mu Andrew i to z jego powodu jechał na farmę okrężną drogą, przez Bulawayo. Andrew był podobny do matki, jak ona miał jasne włosy i brązowe oczy. Tru zawiesił na ścianach swojej chaty dziesiątki rysunków, na których sportretował syna. Potem doszły fotografie – podczas niemal każdych odwiedzin Kim dawała mu kopertę pełną zdjęć – a rozmaite wizerunki chłopca

mieszały się i stapiały w całkowicie nową osobę. Przynajmniej raz w tygodniu Tru szkicował coś, co zobaczył w buszu – zwykle zwierzę – ale często rysował ich obu razem, chcąc utrwalić wspomnienie z ostatniego spotkania.

Zachowanie proporcji między rodziną a pracą było dużym wyzwaniem, zwłaszcza po rozwodzie. Przez sześć tygodni, gdy Tru pracował w rezerwacie, opiekę nad dzieckiem sprawowała matka, a on w ogóle nie uczestniczył w jego życiu – nie rozmawiali przez telefon, nie widzieli się, nie chodzili na mecze piłkarskie ani na lody. Potem Tru przejmował opiekę na dwa tygodnie i występował w roli ojca na pełnym etacie. Andrew przeprowadzał się do jego domu w Bulawayo. Ojciec odwoził go do szkoły i potem odbierał, szykował kanapki na lunch i gotował obiady, pomagał mu w lekcjach. Weekendy spędzali tak, jak chciał Andrew. Nie było chwili, by Tru nie zastanawiał się, jak to możliwe, że tak mocno kocha syna, chociaż nie zawsze jest w pobliżu, by to okazywać.

Z prawej strony drogi zobaczył parę kołujących sępów. Prawdopodobnie szukały resztek jedzenia, pozostawionych w nocy przez hieny, albo wypatrywały jakiegoś zwierzęcia, które padło wczesnym rankiem. Ostatnio wiele zwierząt walczyło o przeżycie. Kraj znów dotknęła susza i wyschły wodopoje w tej części rezerwatu. Nie było w tym nic dziwnego: niedaleko stąd, na zachód, w Botswanie, leży ogromna pustynia Kalahari, zamieszkała przez legendarnych Buszmenów. Ich język uznaje

się za jeden z najstarszych używanych; występują w nim charakterystyczne dźwięki podobne do klikania i mlaskania, dla obcych brzmiące jak z kosmosu. Choć nie posiadają oni praktycznie żadnych dóbr materialnych, śmieją się i żartują częściej niż jakakolwiek inna znana Tru grupa etniczna. Pozostawało tylko pytanie, jak długo będą mogli tak żyć. Nowoczesny świat zbliżał się do nich coraz bardziej i krążyły pogłoski, że rząd Botswany zamierza wprowadzić obowiązek szkolny dla wszystkich dzieci, także dzieci Buszmenów. Tru uważał, że będzie to oznaczało zanik kultury trwającej tysiące lat.

Ale przecież Afryka zmieniała się nieustannie. Tru urodził się w Rodezji, kolonii Imperium Brytyjskiego, i patrzył, jak coraz częściej dochodzi do zamieszek. Był jeszcze nastolatkiem, gdy kraj został podzielony na Zimbabwe i Zambię. Podobnie jak w Republice Południowej Afryki – którą znaczna część cywilizowanego świata uważała za pariasa z powodu apartheidu – w Zimbabwe większość bogactwa była w posiadaniu niewielkiego procenta ludności, niemal wyłącznie rasy białej. Tru wątpił, czy tak będzie zawsze, ale w gronie rodzinnym już nie wypowiadał się o polityce i nierównościach społecznych. Jego krewni zaliczali się do klasy uprzywilejowanej i jak wszyscy jej przedstawiciele byli przekonani, że bogactwo i przywileje im się należą, bez względu na to, w jak brutalny sposób zostały zdobyte.

Wreszcie dojechał do granicy parku i pierwszej z kilku małych wiosek, liczącej około stu mieszkańców. Tak jak obo-

zowisko przewodników, była ogrodzona, żeby zapewnić bezpieczeństwo ludziom i zwierzętom. Dla odprężenia upił łyk z termosu, trzymając go jedną ręką i wystawiając łokieć przez okno. Minął kobietę na rowerze objuczonym skrzynkami pełnymi warzyw, a potem mężczyznę, który prawdopodobnie szedł do następnej wioski, oddalonej o jakieś dziewięć kilometrów. Tru zwolnił i stanął. Idąc swoim niespiesznym rytmem, mężczyzna zrównał się z nim i wszedł do kabiny. Tru posługiwał się jego językiem na tyle dobrze, że mogli sobie gawędzić. W sumie mówił dość płynnie sześcioma językami, w tym dwoma plemiennymi, a przede wszystkim znał angielski, francuski, niemiecki i hiszpański. Między innymi z tego powodu był cenionym pracownikiem w parkach narodowych.

Dowiózł mężczyznę do celu i pojechał dalej, aż w końcu dotarł do asfaltowej drogi. Niedługo potem zatrzymał się na lunch – zwyczajnie zaparkował na poboczu, w cieniu akacji, i zjadł swój prowiant, siedząc na pace. Słońce stało już wysoko, wokół panował spokój, w polu widzenia nie było ani jednego zwierzęcia.

Resztę drogi pokonywał w szybszym tempie. Wioski ustępowały miejsca miasteczkom, potem większym miastom, aż późnym popołudniem ukazały się przedmieścia Bulawayo. O swoim przyjeździe uprzedził Kim listownie, ale poczta w Zimbabwie działała w sposób nie zawsze przewidywalny. Listy zazwyczaj dochodziły, choć niekoniecznie na czas.

Wjechał w ulicę, gdzie mieszkała Kim, i zaparkował na

podjeździe, za jej samochodem. Otworzyła drzwi, ledwie zapukał – niewątpliwie czekała na niego. Gdy się uściskali, Tru usłyszał donośny okrzyk i tupot na schodach, po czym syn rzucił mu się w ramiona. Z czasem Andrew zapewne uzna, że jest za duży na tak wylewne okazywanie uczuć, Tru wiedział o tym, ale teraz mocno przytulił chłopca, zastanawiając się, czy cokolwiek na świecie może sprawiać większą radość.

*

– Mama mówiła, że jedziesz do Ameryki.

Andrew poruszył ten temat wieczorem, gdy Tru siedział z nim na dworze, na niskim murku oddzielającym posesję Kim od posesji sąsiada.

– Zgadza się. Ale nie na długo. Wracam w przyszłym tygodniu.

– Wolałbym, żebyś nie jechał.

Tru objął syna ramieniem.

– Rozumiem. Też będę za tobą tęsknił.

– To dlaczego jedziesz?

Dobre pytanie, nie ma co. Dlaczego nagle przychodzi ten list, i to po tylu latach? Do tego bilet na samolot.

– Jadę zobaczyć się ze swoim ojcem. – W końcu to powiedział.

Andrew zmrużył oczy. Jego jasne włosy zaśniły w blasku księżyca.

- Mówisz o papie Rodneyu?
- Nie. O moim biologicznym ojcu. Nie znam go.
- A chcesz go poznać?

O tak, przemknęło Tru przez głowę, a po chwili: nie, właściwie nie chcę.

– Nie wiem – odparł, zdając sobie sprawę, że ma mieszane uczucia.

- To po co jedziesz?
- Bo napisał w liście, że jest umierający.

*

Tru pożegnał się z Andrew i pojechał do swojego domu. Najpierw otworzył okna, żeby wpuścić świeże powietrze, potem wyjął gitarę i przez godzinę grał i śpiewał, aż w końcu położył się spać.

Wyruszył wcześniej rano. W przeciwieństwie do dróg w parku narodowym, te prowadzące do stolicy były w dość dobrym stanie, ale i tak jazda zajęła mu prawie cały dzień. Zapadł już zmrok, gdy zajeżdżał przed oświetloną rezydencją swego ojczyma, Rodneya, odbudowaną po pożarze. Opodal stały trzy domy dla trzech przyrodnych braci Tru oraz główny dom, jeszcze większy niż rezydencja, w którym dawniej mieszkał Pułkownik. Choć Tru był formalnie właścicielem głównego domu, skierował się nie tam, lecz w stronę mniejszego, podupadającego budynku przy ogrodzeniu. W odległej przeszłości mieszkał

w tym bungalowie kucharz ze swoją żoną. W wieku zaledwie kilkunastu lat Tru doprowadził dom do porządku. Pułkownik pilnował, żeby w miarę regularnie tam sprzątano, ale po jego śmierci nikt już o to nie dbał. Teraz wszystko było zakurzone. Zanim Tru położył się do łóżka, musiał wytrzepać prześciera-
dła, po których łążyły pająki i żuki. Nie przejął się tym – mnó-
stwo razy spał w gorszych warunkach.

Następnego ranka nie zobaczył się z rodziną, tylko poleciał Tengwe, zarządcy farmy, żeby zawiózł go na lotnisko. Tengwe był żyłastym mężczyzną o siwych włosach, który umiał zmusić ziemię do wydawania plonów nawet w najbardziej niesprzy-
jających warunkach. Szóstka jego dzieci pracowała na farmie, a żona, Anoona, gotowała dla Rodneya. Po śmierci matki Tru ta rodzina stała mu się bliższa nawet niż Pułkownik. Kiedy wy-
jechał z farmy, tęsknił tylko za nimi.

Ulice w Harare były zatłoczone, roilo się od ludzi, samo-
chodów osobowych i dostawczych, furmanek i rowerów. Na
lotnisku panował jeszcze większy zamęt. Po przeciągającej się
odprawie Tru w końcu wsiadł do samolotu, który leciał do Am-
sterdamu, gdzie czekała go przesiadka na samolot do Nowego
Jorku, skąd miał się udać do Charlotte, a potem do Wilmington
w Karolinie Północnej.

Licząc postoje, był w podróży prawie dwadzieścia jeden
godzin, zanim postawił nogę na amerykańskiej ziemi, pierwszy
raz w życiu. Gdy minął punkt odbioru bagażu w Wilmington,

zauważył człowieka trzymającego tabliczkę z jego nazwiskiem i nazwą wypożyczalni limuzyn. Szofer zdziwił się, że klient ma tak niewiele rzeczy, i już chciał sięgnąć po futerał z gitarą i plecak, ale Tru pokręcił głową. Ledwie wyszli z budynku na parking, Tru poczuł, jak oblepia go ciężkie, wilgotne powietrze i koszula przywiera mu do pleców.

Jazda przebiegała spokojnie, ale świat za oknem wydał mu się całkiem obcy. Wszędzie dokoła rozciągał się płaski teren, pokryty bujną zielenią; palmy rosły na przemian z dębami i sosnami, trawa miała szmaragdowy odcień. Wilmington było małym nadbrzeżnym miasteczkiem ze sklepami należącymi i do różnych sieci handlowych, i do lokalnych przedsiębiorców. Dalej znajdowała się zabytkowa dzielnica z domami, które liczyły zapewne po kilkaset lat. Miasteczko leżało niedaleko wybrzeża atlantyckiego, nad słono-słodką rzeką Cape Fear, upstrzoną teraz łodziami rybackimi. Na drogach Tru widział mnóstwo samochodów: sedany, SUV-y, minivany, ale żaden nie musiał zjeżdżać z pasa na pas, żeby ominąć furmanki i zwierzęta, jak to robiło się w Bulawayo. Nie było też na drogach rowerzystów ani pieszych, a po chodnikach szli prawie wyłącznie biali. Świat, który zostawił za sobą, wydawał się daleki, jak ze snu.

Godzinę później limuzyna przejechała przez most pontonowy i zatrzymała się przed dwupiętrowym domem przytulonym do niewysokiej wydmy, w miejscowości Sunset Beach, na wyspie nieopodal granicy z Karoliną Południową. Dopiero po dłuższej